

ANDRZEJ SOKOŁOWSKI

ur. 1941; Komarów



Miejsce i czas wydarzeń	Świdnik, PRL
Słowa kluczowe	Świdnik, PRL, WSK, atmosfera w przededniu stanu wojennego, stan wojenny, uniknięcie internowania

Noc przed ogłoszeniem stanu wojennego

Ten dzień będę pamiętał do końca życia. W przeddzień, to była sobota, ja byłem wówczas wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej WSK do spraw organizacyjnych, myśmy zawsze, jak to w tamtych czasach, siedzieli długo, ponieważ to była sobota pracująca, ludzie już poszli do domu. Przyszedłem do domu przed czwartą, zdążyłem zjeść zupę i wpada do mnie – ja nie miałem telefonu – wpada do mnie Leszek Świdorski, który pracował wcześniej razem z panem Zbyszkiem Puczkiem, i mówi: „Andrzej, natychmiast na zakład. Zbyszek Puczek cię prosi, żebyś przyszedł”. Ja wszystko rzuciłem, pobiegliśmy prawie że na zakład, zawróciłem z drogi jednego z przewodniczących, Rysia Szpilewskiego, który też wychodził później z zakładu, zawróciłem go: „Chodź do Komisji Zakładowej, coś się dzieje”. Poszliśmy, pan Zbyszek Puczek w takim zdenerwowaniu mówi, że coś się dzieje w Lublinie z koncentracją policji. „Co jest? Co jest grane?”. „Region informuje, że jakieś ruchy wojsk, policji, coś się dzieje”. Przyznam, że trochę się zawiodłem tutaj na Regionie, ponieważ myśmy siedzieli dość długo bez jakiegokolwiek szczegółowej informacji.

Opuściliśmy zakład między godziną dziewiętnastą a dwudziestą, zresztą takiego mam moralnego kaca, że Puczek został internowany i ci, którzy tam byli, tylko dlatego, że ja w końcu powiedziałem w pewnym momencie: „Panie Zbyszku, bezsensownie siedzimy tutaj w zakładzie, a te nasze biedne żony – przynajmniej w sobotę pomóżmy im”. Ja miałem wtedy trzydzieści dziewięć lat, młodą żonę i małe dzieci, nas nie było nigdy w domu przez ten okres dziewiczej „Solidarności”, myśmy non stop coś robili, coś załatwiali, gdzieś tam bywali na jakichś zebraniach, spotkaniach. I ja mówię: „Idźmy do domu w sobotę”. I pamiętam jak dziś, jak Zbyszek Puczek z takim ociąganiem jeszcze raz zadzwonił do Regionu i chyba odebrał wtedy telefon Karpiński: „A wiesz, jakieś tam są ruchy, ale nie wiadomo, co się dzieje”. I tak troszkę zbagatelizowana ta sprawa została, tak że myśmy poszli do domu.

Poszedłem spać dość późno i spałem tak troszkę niespokojnie, ja dzisiaj tego sobie nie mogę wytłumaczyć. O pierwszej w nocy obudził mnie pisk, krzyk dzieci kolegi

Smalca, pracownika działu interwencji Zarządu Regionu, który mieszkał piętro wyżej. I ja się natychmiast obudziłem, wyskoczyłem z łóżka, podbiegłem do drzwi i słyszę męski głos: „Panie Smalec, panu to nic nie pomoże, niech się pan ubiera, bo wyciągniemy pana w koszuli, zabierzemy pana w koszuli. Niech się pan ubiera”. Ja wówczas natychmiast zrozumiałem. Przez całe lata nie potrafiłem sobie uzmysłwić, dlaczego miałem tak dużo spokoju w sobie. W takim spokoju, ale jednocześnie błyskawicznie ubrałem się, do żony tylko powiedziałem krótko: „Gdyby się pytali – mnie w domu nie było” i wyszedłem. I też takie szczęście – Opatrzność nade mną czuwała – że ja nie wyszedłem z domu, z klatki schodowej, tylko zszedłem do piwnicy. Zamknąłem drzwi – u nas tak jest, że od wewnątrz piwnicę można zamknąć, natomiast wtedy, jak się nie ma klucza, to się nie otworzy od zewnątrz tych drzwi. Zamknąłem drzwi i dosłownie z chwilą zamknięcia drzwi słyszę, jak podjeżdża samochód, ktoś wchodzi do klatki i taki głos: „Na pewno 37?”, „Na pewno”, „Ale na pewno?”, „Na pewno”. I słyszę – idzie. A 37 to jest numer mojego mieszkania. I ja wtedy zrozumiałem, że również po mnie przyszli. Przeszedłem piwnicą do drugiej klatki i naprawdę bardzo spokojnie, nie uciekając wyszedłem. Najpierw otworzyłem drzwi, słyszę, że ktoś rozmawia w samochodzie, ale zobaczyłem, że w samochodzie nikogo nie ma. Zrozumiałem, że jest to krótkofalówka. Wzdłuż bloku spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy, o jakieś sto metrów, może troszkę więcej, były takie metalowe garaże, tam pod te garaże przeszedłem, wcisnąłem się tak między dwa garaże i widziałem, jak wyciągają tego biednego Smalca, jak został pałowany, widziałem, jak go bili, w koszuli, w bieliźnie, i tam widziałem, jak żona mu tam na odchodne rzuciła jakieś ubranie do tej suki.

Ja byłbym też internowany, tylko Opatrzność nade mną cały czas czuwała, dlatego że na spisie lokatorów u mnie była pomyłka – nie było napisane: Andrzej Sokołowski, tylko było napisane: Stanisław Sokołowski. I po mnie przyszli wcześniej. Jak zobaczyli, że Stanisław, a mają napisane Andrzej – oni mieli jasno powiedziane: „Broń Boże kogokolwiek innego wziąć” – musieli się na sto procent upewnić i oni się wrócili. Ta ekipa, która po mnie przyszła, musiała wrócić na komendę, by się upewnić czy pod 37 numerem mieszka Andrzej Sokołowski – i tylko to mnie uratowało.

Data i miejsce nagrania	2005-08-22, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"